

Poważnym wydarzeniem w życiu kulturalnym naszego województwa było przyznanie nagród m. Poznania w zakresie literatury, sztuki, nauki i techniki. Oto sylwetki trzech laureatów.

SPOJRZENIE nie tylko w przeszłość



Sylwetka Eugeniusza Paukszy, laureata nagrody literackiej Poznania, nie jest obca mieszkańcom naszego miasta. Jego nazwisko spotykamy zarówno na okładkach książek, w prasie codziennej, czy też... w sprawozdaniach z posiedzeń różnego rodzaju komisji i podkomisji.

Pracę czysto literacką łączy Paukasz z wieloma zajęciami felietonisty, działacza kulturalnego i radnego, stając na stanowisku, że włączenie się pisarza w nurt bieżącego życia pozwala mu z lepszymi wynikami realizować zamysły literackie o tematyce nawet czasowo nieraz odległej i pozornie niezwiązanej z realiami dzisiejszych dni.

Potwierdzeniem tej tezy jest zresztą sama tak bogata na przestrzeni ostatnich lat twórczość laureata, jednego z najpłodniejszych pisarzy poznańskiego ośrodka. Przypomnijmy choćby pokrótce pozycje, które ukazały się po wojnie: a więc „Trud ziemi nowiej” — pierwsza w Polsce powieść o ludziach Ziemi Odzyskanych, „Trzecia zmiana”, ukazująca pracę i walkę śląskich hutników, „Opowieść o zwycięskiej starości”, przedstawiająca życie i prace poznańskiego naukowca d-ra Zniniewicza, „Kartki z Ziemi Lubuskiej”, pełne uroku opowiadania z przeszłości lubuskiego regionu, wielkiej trylogii powieściowej o życiu osadników na Mazurach ukazały się już dwie cze-

ści: „Srebrna ławica” i „Lody pękają”. W opracowaniu znajduje się część trzecia pt. „Spiewająca ziemia”.

Zainteresowanie problematyką ziem zachodnich nie ogranicza się zresztą do spraw dnia dzisiejszego. Pisarz uważa, że obowiązkiem literatury jest nie tylko pokazać dzisiejszy obraz ziem nad Odrą i Bałtykiem, ale również ich dzieje i przeszłość. Zadanie to spełniają historyczne powieści Paukszy. Dzieje walk o wyzwolenie Pomorza stanowią kanwę nie wydanej jeszcze powieści „Śluby ogniste”, a w druku znajdują się dwa wielkie tomy tetralogii historycznej pt. „Straceńcy”. Tytuły obu tomów: „Wielawa” i „Trybun królewiecki”. W przygotowaniu znajdują się dalsze części: „Beczka Danaida” i „Na rozkaz jego elektorskiej mości”. Ołbrzymie to dzieło, nad którym Paukasz pracuje od 6 lat, porusza zapomniane i przez nikogo jeszcze nieknięty temat irredenty prapolskiej w Prusach w latach 1656-1672. (O ołbrzy-

mim wkładzie pracy w to dzieło świadczy fakt, że podbudowanie tytułu historycznego wymagało przez studiowania około 50 pozycji bibliograficznych!)

Powieść historyczna — zdaniem pisarza — nie jest bynajmniej ucieczką twórcy od współczesności. Literaturze naszej potrzebne jest jedno i drugie. Rzecz w tym, aby ukazując artystyczną wizję przeszłości, umieć przez jej pryzmat dostrzec istotę przemian, które są udziałem dzisiejszych czasów. W tworzeniu wielkich cykli powieści historycznych pomogła bez wątpienia Paucszycy jego działalność publicystyczna zapoczątkowana jeszcze w Polskim Związku Zachodnim. Przeszło osiemset artykułów oraz wiele broszur na temat Ziemi Zachodnich, jak i praktyczna działalność w PZZ, zbliżyły go do tych zagadnień, wzbogacając arse-

nał faktów i realiów potrzebnych w literackiej twórczości.

Z dziedziny eszastyki krytycznej warto wspomnieć o pracy „Początki państwa polskiego w powieści współczesnej”, wydanej w 1951 r. Od czterech lat ukazują się felietony kulturalne Paukszy w „Expressie Poznańskim”, a od trzech lat jego stałe recenzje teatralne.

Do tej bogatej i różnorodnej pracy pisarskiej dołącza się żywa działalność Paukszy jako działacza kulturalnego. Był dłuższy czas przewodniczącym Oddziału Poznańskiego ZLP, w grudniu ub. roku społeczeństwo wybrało go radnym do WRN, gdzie pełni trudną funkcję przewodniczącego Wojewódzkiej Komisji Kultury.

Mimo przeciążenia licznymi obowiązkami i słabego zdrowia (nadwątłoność po byciu w hitlerowskim obozie koncentracyjnym) Eugeniusz Paukasz należy do pisarzy obdarzających czytelników w krótkich odstępach czasu coraz to nowymi dziełami. W wydawnictwie znajduje się nowa powieść pt. „Brajacy”, nagrodzona ostatnio w konkursie literackim Prezydium WRN w Poznaniu. Pisarz pracuje obecnie nad tomem opowieści, opartych na klechdach i legendach ludowych ziemi wielkopolskiej.

J. M.

ŚWIAT

TYGODNIOWY

DODATEK „GŁOSU”

Niedziela 20 II 1955

Rok VI Numer 8

Eugeniusz Paukasz

STARCIE

(Fragment drukowanej obecnie powieści współczesnej)

Lis śmignął w krzakach, zwiędniętą kitą. Nogi jego zostawały w białym śniegu wyraźny ślad. W pierwszej chwili chciał już rzucić z ramienia fuzyjkę, postać niezawodną ku lewemu śladu z rudym, opamiętał się jednak. Z rogacza większa pociecha. Zagwizdał tylko przez zęby, ostrożnie przebiegł leśną polanę. Ani śladu Dorożala. Śpi pewnie w domu, zmordowany nieustannym tropieniem Gertkowych kroków.

Alojzy zwinął kroku. Skupiony w słuchu, ostrożnie stawiając nogi, przystąpił prawie w pół, z fuzyją kurczowo ściskaną w dłoniach, skradając się na brzeg strumienia. Zachodził od prawej strony jeleniego poidła. Upatrzył sobie już przedtem dogodne miejsce na strzał.

Zarośnięta twarz pałała mu teraz krwawymi blaskami. Gorączka myślowa tak zawsze rozpala. Oczy jasne, jak wyprane, bacznie wypatrywały przeciwnika brzoza. Z leśnych czynowych chaszczy zbiegała nad wodę ścieżka, latem prawie niewidoczna w okryciu listowia. Śnieg padał, pyłki jego ziałały, dłużej wirowały w powie trzasku, ciekawie oglądając świat przed złozeniem się do spoczynku na ziemi. Masywne jodły stały spokojnie, ufne w swą wytrzymałość na mrozy i śniegi. Na szerokiach rozgałęzieniach konarów śnieg osiadał szerokimi płatami, pęczniał, przysięgał ciężarem. Przypominały się Gertkowi takie same płaskie, rozczapierzone łopaty łosia. We stchnął. Ładna sztuka, rzadko teraz już spotkać podobne...

Zadowolony by. Wokoło drzewa, ciche i mięciutki śnieg, po waga jodeł, i on w tym wszystkim, nieodrodny człowiek lasu. Zdażył w czas. Zwierzęca ścieżka nad strumieniem nie była jeszcze zdeptana, nie znaczyły się na śniegu potężne wgniebia nia racie. Kilka drobnych było śladami saren. Namnożyło się ich w ostatnie lata. Rogacz jeszcze nie raczył się chłodną, kładną wodą. Łada chwila powinien nadejść.

Człowiek na stanowisku poruszył się lekko. Teraz dopiero poczuł, jak jest zmęczony. Doszedł tutaj niezwykłe szybko, w obrzeżonych oczek nie spuszczał z człowieka. Wyrzucił dziób do przodu, rozdarł się przeraźliwie:

— Diks diks gri gigigii.

Nagłym skokiem do góry do pomógł skrzydłom, odleciał, za wrzeszczał ponownie.

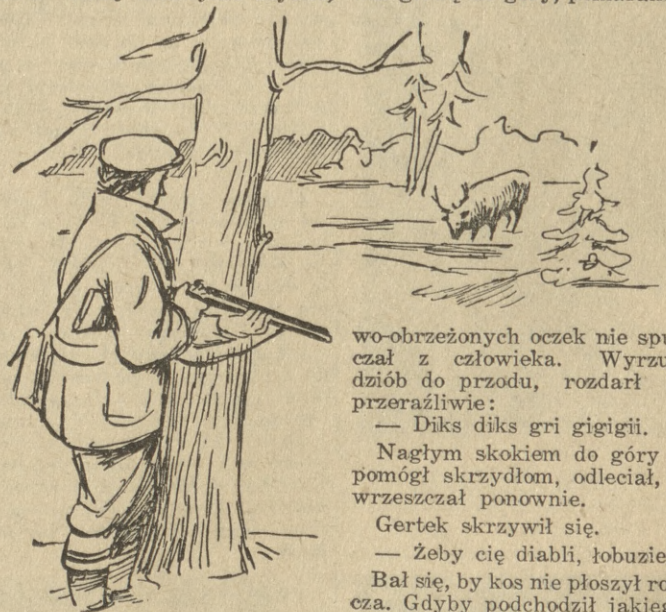
Gertek skrzywił się.

— Żeby cię diabli, łobuzie.

Bał się, by kos nie ploszył roga cza. Gdyby podchodził jakiegoś cietrzewia czy głuszcza, byłoby już po polowaniu. Kos miał już taki zwyczaj ostrzegania. Stuchały go czasem także zajace, sarny, lisy, ba, i jeleni co czujniejszy wolał czasem na sygnał podobny zawrócić z drogi. Patrzał uważnie w kierunku strumienia. Cisza, z lasu nie dobiegał żaden łomot. Może i nie spłoszył. To ci łobuz dopiero...!

Z uznaniem i niechęcią spojrział za kosem. Nie było go nigdzie widać. Zrezygnował pewnie z owadów i chraszczy, poleciał dalej szukać krzewów z leśną jagodą.

Chłód zaczął zachodzić go w nogi, zachełtało mu się zapalić. Nie można. Zwierzyna wyczuje. (Ciąg dalszy na str. 3)



Rys. H. Derwich

blisko osiem kilometrów, jak sobie obliczał. Parła go łowiecka gorączka, dlatego tak sadił przez lasy i bagna. Oddech miał przyspieszony, głęboki. Aż się bał chwilami, aby nie zdradził go wraz z parą, wibrującą w powietrzu przy każdym wydechu. Zmęczenie to jednak było przyjemne. Jakaś rześka niemoc rozlewała się po członkach. Czuł się w tej chwili zdolnym do długich, dalekich marszów i potężnych wysiłków.

— Ech, leśne życie... — cichutko, niedosłyszalnie szepnął do siebie, uśmiechnięty obej

J. M.

Dyrygent i jego chłopcy

Talent, energia i entuzjazm laureata nagrody artystycznej m. Poznania mgr. Stefana Stuligrosza — mimo młodego wieku — pasują go na wcale twórczą jednostkę w polskim życiu muzycznym, która w minionym dziesięcioleciu rosła i rozwijała się dzięki żarliwej ambicji i wytrwałej pracy.

Stuligrosz to dziecko Poznania, związany z nim zwłaszcza poprzez długoletnie kierownictwo Chłopców-Męskich Chóru przy Państ. Filharmonii w Poznaniu, znanym nie tylko szeroko w kraju, ale i za granicą z rozlicznych audycji radiowych, nagrań na taśmę magnetofonową, płyty oraz z występów estradowych a capella, szczególnie w utworach dawnej chóralnej muzyki polskiej.

Jego związki z Poznaniem podkreśla również młoda twórczość kompozytorska, te matycznie bliska rodzinnemu miastu i Wielkopolsce (np. „Pieśni Wielkopolskie” — na chór mieszany i będąca na warsztacie „Kantata o orle na Ratuszu poznańskim” na chór mieszany z orkiestrą symfoniczną).

Założyciel i kier. artystyczny Chóru Chłopców-Męskich przy Państ. Filharmonii w Poznaniu koncertuje niestrudzenie wielokrotnie w Warszawie i innych miastach, zdobywając liczne nagrody i wyróżnienia (I Festiwal Mu-

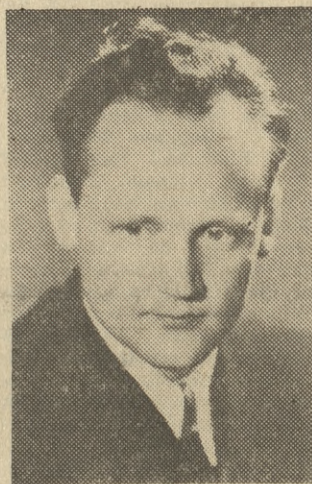
zyki Polskiej w r. 1951 — dwie II nagrody dla chóru i złoty krzyż zasługi dla dyrygenta). Szerokim echem odbił się pobyt na Złocie w Berlinie oraz tournée po NRD, oceniane entuzjastycznie przez prasę niemiecką. Każdorazowe pobyty zagranicznych gości w stolicy Wielkopolski kończyły się niemal z reguły przesłuchaniami chóru, o czym świadczą nader pochlebne opinie wpisane do Złotej Księgi Chóru, m. in. przez tak wybitnych muzyków jak: Abendroth (NRD), Mauersberger (NRD), Marty now, Stoleto, Rachlin, Wajmann (ZSRR), Ferencsik (Węgry), Bouvier (Francja), Suchon (CSR), Iliev (Bułgaria), czy Santoro (Brazylia). Opinie te szły w świat, przynosząc chlubę Poznaniowi, „stolicy muzycznej” Polski Ludowej.

„Magnificat” Bacha wykonał w r. 1950 na Międzyszkolnym Konkursie Bachowskim w Poznaniu, występy na I Festiwalu Muzyki Polskiej w Warszawie i dwukrotnie w NRD — to najważniejsze osiągnięcia artystyczne Stuligrosza. Wyprowadzenie VII Symfonii Beethovena, IV — Czajkowskiego wraz z jego koncertem fortepianowym b-moll, utwory Bacha, Mozarta, Rachmaninowa wykonane obok wielu innych pod batutą Stuligrosza

— świadczą również o nerwie kapelmistrzowskim laureata i jego inteligencji muzycznej, nie zasklepiającej się tylko w twórczości chóralnej.

Stefan Stuligrosz jest autorem wielu opracowań zapomnianych cennych utworów dawnych mistrzów polskich. Do poważniejszych pozycji zaliczyć należy 12-głosowe „Magnificat” Mikołaja Zieleskiego, które ukazało się w wydawnictwie FWM „Muzyka Odrodzenia Polskiego”. Z okazji Roku Odrodzenia Polskiego kilkanaście najcenniejszych utworów tego okresu w wykonaniu Chóru Chłopców i Męskiego przy PFP pod dyktando Stefana Stuligrosza, utrwalonych zostało na płytach przez Państwowe Zakłady Nagrań Dźwiękowych. Poza opracowaniami muzycznymi znajdującymi się w repertuarze orkiestry kameralnej Studia Dawnej Muzyki, Pieśni i Tańca — Stuligrosz jest kompozytorem pieśni chóralnych. Oprócz stałych koncertów w ramach programu Filharmonii Poznańskiej i audycji radiowych, Chór pod kierunkiem swego dyrygenta organizuje liczne koncerty dla młodzieży szkolnej i szerokiego mas społeczeństwa.

Wspomnieć należy o roli pedagogiczno-wychowawczej, jaką Stuligrosz spełnia w

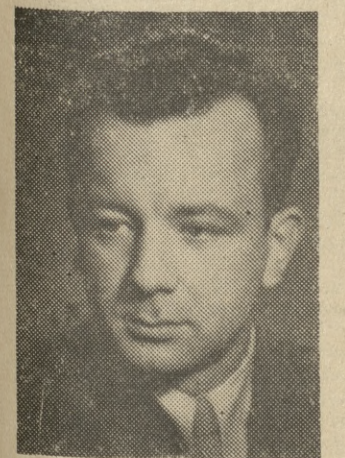


Fot. Myszkowski

swym zespole, wzniecając w młodych sercach umiłowanie szlachetnej sztuki, jaką jest muzyka. Dla wielu chłopców z Chóru śpiew pod kierunkiem cenionego przez nich dyrygenta stał się początkiem dalszych studiów muzycznych. Oprócz pracy na stanowisku kierownika Chóru Chłopców i Męskiego przy PFP Stuligrosz jest asystentem klasy dyrygentury prof. Stanisława Wiślickiego w PWSM, ciesząc się pełnym zaufaniem studentów. W bieżącym roku Chór i jego kierownik obchodzą 10-lecie swej pracy artystycznej w Polsce Ludowej.

T. S.

Decyduje talent i praca



Fot. Myszkowski

Niewiele mamy w Polsce wybitnych twórców plakatu artystycznego. Plakat, najbardziej przemawiająca bezpośrednio forma plastycznej wypowiedzi wymaga od grafika swobodnego talentu. Cieszymy się, że z poznańskiego ośrodka młodych plastyków wy-

rosł twórca, który we wspomnianej dziedzinie posiada już poważne osiągnięcia. Plakat artysty — grafika Zbigniewa Kaji znalazł sobie miejsce wśród najlepszych dzieł w Polsce i zagranicą.

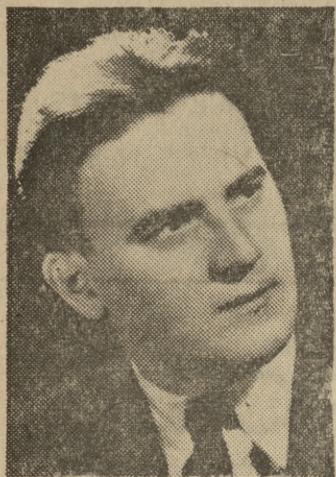
Do artystycznych sukcesów Kaji w ostatnich latach należą m. in. I nagroda na Wystawie Plakatu w Warszawie w r. 1953, jedna z czterech pierwszych nagród na plakat 1-majowy w r. 1954, wyróżnienie za wywieszkę i III nagroda za plakat „Przyjaźń” w r. 1954, II nagroda za plakat „Festiwal Filmów Radzieckich” w r. 1954, III nagroda za plakat „II Ogólnopolska Wystawa Plastyki” w 1951 r., I nagroda za plakat „Zoo” w 1954 oraz III nagroda za plakat „Grand Prix Polski w Gdańsku” w 1954 r.

Przez ostatnie trzy lata artysta brał udział we wszystkich wystawach okręgowych, ogólnopolskich i obywatelskich.

Poważnym sukcesem było przyjęcie sześciu prac Kaji na IV Ogólnopolską Wystawę Plastyki (drzeworyty, rysunki i monotypy). Szesnastu drzeworytów Kaji powędrowało do dalekich Chin i Lipska na zamówienie Min. Kultury i Sztuki (m. in. trzy prace związane z Wielkopolską: „Odbudowa Starego Rynku”, „Nad Wartą” i „Z okolic Wolsztyna”). Poważny jest udział młodego artysty w wystawach zagranicznych: w Moskwie, Kijowie, Pradze, Rzymie, Kopenhadze i Sofii. Kilka prac o tematyce wielkopolskiej zamówionych zostało ostatnio na wystawy do Stanów Zjednoczonych i Kanady.

Zbigniew Kaja, laureat nagrody młodzieżowej m. Poznania, nie zapomina jednak o potrzebach „własnego podwórka”.

Na zlecenie zarządu ZNPAP artysta wykonał 100 odbitek



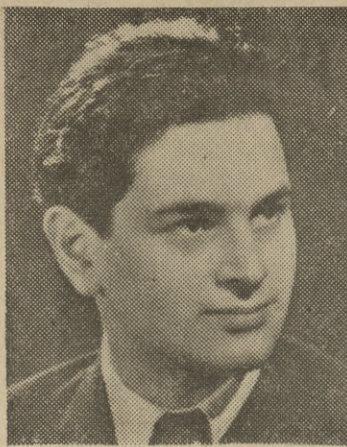
Włodzimierz Obidowicz



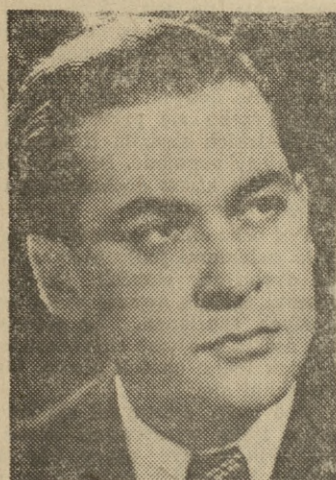
Danuś Dworakowska



Edwin Kowalik



Andrzej Czajkowski



Tadeusz Kerner



Adam Harasiewicz



Lidia Grychtol



Miłosz Magin

Chopin jakiego nie znamy

Każdy, kto wstąpił się w kompozycje Fryderyka Chopina, odnosi wrażenie, że człowiek, który stworzył tak pełne smutku utwory, był smutnym i cichego usposobienia. Tymczasem Chopin od najmłodszych lat odznaczał się wielką żywotnością i posiadał pełne wesołości usposobienie, znakomicie naśladował ruchy, mimikę i głos osób ze swego otoczenia. Niemniej posiadał on prócz talentu muzycznego doskonałe zdolności aktorskie. Chopin umiał być bardzo dowcipnym i często wywoływał komiczne sytuacje.

Mały „Frycek” przebywał w 1825 roku na czasach w majątku Szafarnia, u ojca jego przyjaciela — Dominika Dziewanowskiego. Dowiedział się, że właściciel majątku Oborowo — Romocki sprzedał pewnemu handlarzowi pszenicę. Chopinek, gdyż tak powszechnie go nazywano, napisał list, w którym polsko-żydowski żargon, do wspomnianego właściciela majątku, że zrzeka się kupna. Romocki, potrzebujący gotówki, uwierzył i był bardzo wściekły z powodu rezygnacji kupna, groził obiciem handlarza. Chopin przyznał się jednak do kawału.

Podczas pobytu na czasach Chopin wydawał „Kurier Szafarni”, podając w nim wiele zmyślonych i komicznych nowości, podpisując je Pichon, a więc odwróconym nazwiskiem.

Będąc już w Paryżu, często dowcipkował, szczególnie gdy w gronie najbliższych przyjaciół znalazł się ktoś świeżo przybyły z Ojczyzny, do której stale tęsknił. Przy fortepianie, ku wielkiej uciechy zebranych, świetnie naśladował grę wielu wirtuozów, odzwierciedlał własne mazurki, tak jak je fałszywie grał domorośli artyści.

Pewnego razu jeden z przyjaciół Chopina — Józef Nowakowski — gorąco pragnął zapoznać słynnego Liszta. „Czekaj, zaraz ci go pokażę” — odrzekł Chopin, siadł do fortepianu i świetnie odtworzył jego postać oraz mimikę i gestykulację. W podobny sposób naśladował i innych.

Czarem swej muzyki i taktownym obejściem Chopin zdobywał wiele sympatii. W czasie swej podróży w 1828 roku w drodze do Berlina, dylizans, dla zamiany koni, zatrzymał się w Cylichowie. Chopin zasiadł w mieszkaniu poczmistrza do fortepianu, a podróżni zwróceni piękną grą artysty, słuchając jej, zapomnieli o wyjeździe. Po czasie poczmistrz zaczął oddać specjalne, kurierskie konie do kontynuowania podróży. Do dylizansu zgromadzeni wynieśli Chopina na rękach.

Chopin lubił mieć ładne i eleganckie mieszkanie, zawsze był wytwornie ubrany i chętnie nosił białe rękawiczki. Jeszcze w okresie pobytu w Warszawie, nie zawsze mając pieniędzy, by je kupić, chętnie korzystał z rękawiczek swych sióstr.

Kosztom swego talentu nie lubił Chopin zaspokajać czyjejś próżności. Pewnego razu, zaproszony na obiad, zmuszony do gry, potrafił się zdobyć na dotkliwy żart i odpowiednio natrętnych potraktować. „Ach, panie — odrzekł do natrętnego gospodarza — tak mało jadłem.”

Grał natomiast chętnie, gdy tylko mógł komu zrobić przyjemność. Mówią, że gdy umie-

rał bratanek znanego generała Gotfryd Cavaignac, Chopin na jego prośbę, wyrażoną przez historyka Louisa Blanca — grał długo na lichym fortepianie, przynosząc ulgę duchową choremu w ostatnich chwilach jego życia.

Chopin zdradzał niechęć do pisania listów. Jak twierdzi jego przyjaciel — Franciszek Liszt — Chopin wolał uciekać się

na drugi koniec Paryża pieszko, by na przykład odmówić wizyty i przy tej sposobności porozmawiać w ojczystym języku.

Podobnie jak wielu sławnych ludzi i artystów i Chopin był zabobenny. Niczego nie podejmował się w poniedziałki i piątki. Nie znosił siódemki i trzynastki.

(Zebrał: T. Paczkowski)

Leszek Prorok

Trzy grosze w sprawie atmosfery artystycznej

Groszy tych było wprawdzie rozsiągniętych tu i ówdzie nieco więcej, pragnę jednak i głosowej trybunie rzucić niestartego, brzękającego trojaka. Zachęciło mnie do tego pełne zacięcia wystąpienie Tadeusza Halucha na łamach poprzedniego „Nowego Świata”.

Haluch lubi „interwencje osobiste”. Niedawno zadebiutował w Estradzie Satyrycznej jako autor celnego monologu pod tym tytułem. Najzupełniej osobistą interwencją było włączenie się do dyskusji na temat sytuacji w wielkopolskim życiu kulturalnym, jaka od kilku tygodni toczy się w prasie miejscowej. Wszczęły ją publicystyczne wystąpienia Jana Hłaski. Przedtem zagadnieniem owym poświęcał czasem trochę miejsca Eugeniusz Paukszt w „Expressie”.

W osobie Halucha po raz pierwszy zabrał głos przedstawiciel literackiej młodzieży, a więc kół zainteresowanych szczególnie w inspirującej, twórczej atmosferze Poznania, w poszerzeniu możliwości działania artystycznego i gromadzenia doświadczeń. Otóż młody autor ubolewał między innymi nad brakiem polemicznych pasji w naszych piśmie, nad ugrzechnieniem wystąpień prasowych, nad stojącą cichą wodą w kulturalnym stawku. Dziwił się bierności prasy, która winna być, jak to słusznie stwierdził, pierwszym chyba czynnikiem ożywienia na kulturalnym a szczególnie pisarskim rynku.

Stwierdzenia nadzwyczaj słuszne. W ośrodku prowincjonalnym jak Poznań, gdzie nie ma wydawnictw i periodyków kulturalnych, rola prasy w ożywieniu lub głusze-

niu atmosfery twórczej środowisk artystycznych jest decydująca. A jak ta rola pojmowana była w niedawnej przeszłości niech przypomną dwa drobne przykłady. Przypatrzmy się, gdyż trzeba słuszne ogólniki dotychczasowej dyskusji przekładać na język praktycznego działania, pokazywać, co to znaczy konkretnie zła czy dobra atmosfera na kulturalnym podwórku.

Było to chyba dwa lata temu. Zmarł dobry, zasłużony artysta dramatyczny Bolesław Roślan. Zawdzięczamy mu kilkadziesiąt kreacji, wyrastających ponad przeciętny poziom naszej twórczości sceniczej, z tego szeregu w powojennym Poznaniu, z którym był związany przez znaczną część życia.

W tydzień po zgonie artysty ceniony krytyk miejscowy proponuje naczelnemu redaktorowi jednego z tutejszych dzienników omówienie dorobku Roślana i słyszy w odpowiedzi: — Tak, ale on już nie żyje. Już tydzień minął od pogrzebu. Sprawa nie jest aktualna. A dziennik przede wszystkim dba o aktualność.

Cóż miał począć recenzent? „... ani pisał. Wrócił do siebie i czapkę naciął”.

Skoro tak się pojmuje aktualność, nie po krytyce teatralnej w gazecie.

Drugi przykład dotyczy doświadczeń osobistych. Ktoś opowiedział mi autentyczne zdarzenie z sali operacyjnej poznańskiego szpitala. Młodziutki chirurg, który znalazł się w ciężkiej sytuacji wyłącznego operatora, zachował się w sposób pełny lekarskiego heroizmu i poczucia odpowiedzialności.

Coż miał począć recenzent? „... ani pisał. Wrócił do siebie i czapkę naciął”.

Skoro tak się pojmuje aktualność, nie po krytyce teatralnej w gazecie.

ści. Zdawało mi się, że historia ta zawiera duży ładunek wychowawczy, adresowany do młodych wchodzących w życie fachowców. Napisałem opowiadanie i zaniósłem je do redakcji.

— Tak — ocenił redaktor naczelny po przeczytaniu — ale to równie dobrze mogło wydarzyć się w dwudziestolecu międzywojennym.

— Istotnie — przyznałem. — Kto wie, może coś takiego będzie możliwe także jeszcze za lat dziesięć.

— Nie mogę tego drukować — oświadczył redaktor. — Nic nie wskazuje wyraźnie, że to specyficzna sytuacja naszego etapu.

Na kolanie wyklepałem opowiadanie, gdzie nakładem bez liku murowanych problemów z redakcyjnych „wstępniaków” owego czasu, jak do walizki, której nie da się domknąć kolanem. Czego tam nie było? I upowszechnienie kultury, i teatr amatorski, i szkolenie za wodowe, i młode kadry, a nawet trochę miłośnicy sztuki. Sprawa nie jest aktualna. A dziennik przede wszystkim dba o aktualność.

Cóż miał począć recenzent? „... ani pisał. Wrócił do siebie i czapkę naciął”.

Skoro tak się pojmuje aktualność, nie po krytyce teatralnej w gazecie.

Drugi przykład dotyczy doświadczeń osobistych. Ktoś opowiedział mi autentyczne zdarzenie z sali operacyjnej poznańskiego szpitala. Młodziutki chirurg, który znalazł się w ciężkiej sytuacji wyłącznego operatora, zachował się w sposób pełny lekarskiego heroizmu i poczucia odpowiedzialności.

Coż miał począć recenzent? „... ani pisał. Wrócił do siebie i czapkę naciął”.

Skoro tak się pojmuje aktualność, nie po krytyce teatralnej w gazecie.

Coż miał począć recenzent? „... ani pisał. Wrócił do siebie i czapkę naciął”.

Skoro tak się pojmuje aktualność, nie po krytyce teatralnej w gazecie.

ko ją z racji kiepskiej prozy. Redaktorzy także. Tzn. co do winy, gdyż na smutnych nie wyglądają. W dotychczasowej dyskusji, reprezentowanej przeważnie przez ludzi z kręgu bliskiego prasie, za słabo dźwięczał ton samokrytyczny. A warto sobie te rzeczy jasno i otwarcie powiedzieć. W prasie naszej od czasu tych przykładów zmieniło się wiele na korzyść, czego dowodem jest zresztą publikacja niniejszego artykułu. Tym niemniej pisanie o praktycznych przeszkodach w dalszym ciągu melioruje sytuację. Niedawno „Głos” mimo trudności technicznych zamieścił mi opowiadanie z kilku „dnami” (myślę o „Białej łasce”), za co mu serdecznie jestem wdzięczny.

Wydaje się, iż obecnie można mówić poważnie o rozwoju literatury w naszej prasie codziennej. O koniecznej ewolucji dodatków niedzielnych w kierunku wkładek kulturalnych, gdzie obok poezji i prozy byłby reprezentowane w godnych proporcjach wszystkie dyscypliny krytyki artystycznej, czy satyra wyrastająca poza żenujący, wirusowy format poznańskiej fraszki. Podpisuję się oburczając pod argumentacją T. Halucha, w tym względzie i serdecznie „Głos” do podjęcia takiej inicjatywy zachęcam.

A co do braku polemik itp. form ostrej szermierki literackiej, łagodny skądinąd Tadeusz Haluch ma szczególną rację. Zatruciliśmy umiejętność polemiki w wielkim stylu, jakie jeszcze przed pięciu, sześciu laty ożywiały łamy periodyków. A nawet i prasę. Pamiętam dobrze polemikę (w średnim stylu), jaką na łamach „Głosu” wiodłem w 1948 r. z Z. Jaskim n. t. dyktantyzmu i fachowości w życiu artystycznym.

Jakżeby przydał się nam dziś, choćby dla celów instrukcyjnych, wieloletni wielki pojedynek Irzykowski-Boy. A „może ktoś z państwa będzie tak grzeczny?” — jak mówi pewna makabryczna piosenka studencka. Polemiści w Poznaniu potrzebni zaraz! Grunwaldzka 19. Zgłaszać się z wyostrzonym piórem.

Wiadomo, że pewne talenty rozblaskają najsilniej w ogniu polemicznej pasji. I wierzyć chyba należy, że otwarcie łamów prasowych dla polemiki porwie i tę resztę artystycznych środowisk, która zdaniem Halucha ani rusz nie chce brzęgować. Szukajmy zatem polemistów, ale i godnych tematów do polemiki. Albowiem spierać się na publicznym forum, a nawet w ogóle, warto tylko o rzeczy większe lub zgoła wielkie. Broń nas Bóg przed polemikami kieszonkowego formatu. Byłoby to jeszcze gorsze niż szczęście niż zarosły zieloną rzęsą, nieruchawy staw.

Ze starych szpargałów

Chuligani z XVIII w.

Walka z chuliganami trwa od wielu wieków. Mówią o tym zapiski magistratu w Grodzisku. W mieście tym, w roku 1733, chuligani „wazyli się w nocy Mieszczanów turbować, budzić śpiących, strasząc inkursjami zagranicznymi Mieszczanów...” Sąd Radziecki Grodziska nakazał rebeliantów osadzić w komórkę nocy trzy i dni trzy.

Jeden z chuliganów grodzkich, Michał Kalkanista, za popełnienie ciężkiej kradzieży z dzieckiem na ręce skazany został na odebranie przed Ratuszem plag 60 postronkami. „A że takowego czleka Miasto cierpieć nie może: dlatego mu relegacją z Miasta naznacza tak, aby więcej tu nie postał”.

Ciemnota i zabobon!

Walczone dawniej z zabobonem, a jakże! Orazem była ciemnota, więzienie i kary pieniężne. Posłuchajmy, co mówi Sąd Radziecki z Grodziska w 1733 roku.

„...aby żaden człowiek w jakimkolwiek paroxizmie zostający nie udawał się pro medicina albo po poradę iaką do Babow takowych, które opętane są i z diabłem trzymają: jak się pokazało w Dusznikach; któryby się takowy miał poważyć do takowych Matron, będzie popadł grzywnien pięćdziesiąt y siedzenie w więzieniu niedziel cztery...”

Niewiele to skutkowało, niewiele. Na ciemnotę i zabobon jedynym lekarstwem — wiedza, oświata.

INDIE dalekie i bliskie

Nieco o świętych krowach, słoni i tygrysie oraz naukowej naradzie w Dehra Dun

Kłopoty i trudności „Węgierskiej opowieści”

Przemysław Bystrzycki

Czy wiecie, że w Indiach oddaje się cześć przeszło 2 milionom religijnych bóstw?

Krowa i małpa są zwierzętami świętymi. Małpy stały się plagą, jak kiedyś w Australii króliki. Doszło do tego, że rząd płaci za każdą schwytaną małpę i żywe eksportuje za granicę. Krów się nie zabija; giną własną śmiercią. Gdy np. krowa położy się na ulicy, ruch kołowy zamiera. Straganiarz jest szczęśliwy,

Samo nawadnianie przypomina sposoby znane z rysunków starożytnych Egipcjan. Nad studnią blok, na bloku lina, którą woły ciągną skórzany worek. Jedna para wołów schodzi po równi pochyłej, druga w tym czasie wstępuje. Woda wylewa się do rynny.

Mechanizacja prac w naszym pojęciu jest nieznaną, a próby jej wprowadzenia spotykają się z niechęcią. Na samym Kongresie słyszałem Hindusów, którzy występowali przeciw traktorom, twierdząc, że ich zastosowa-

Drukujemy dalszy ciąg wrażeń Wacława Kontka, dyrektora Instytutu Technologii Drewna w Poznaniu, z jego podróży do Indii na IV Światowy Kongres Leśnictwa.

rodzi się już perspektywiczne spojrzenie na prace leśne, widząc załaski planowej gospodarki Hindusów.

...I O KONGRESIE

W Kongresie wzięły udział 52 państwa reprezentowane przez 436 delegatów. Poza Hindusami największy wkład w prace kongresowe włożyły delegacje: Związku Radzieckiego, Chin i krajów demokracji ludowej. Charakterystyczny był bierny udział delegacji kapitalistycznych krajów Zachodu. Jedynym np. wystąpieniem Anglików była napaść na Amerykanów za ich rabunkową eksploatację lasów w Kanadzie.

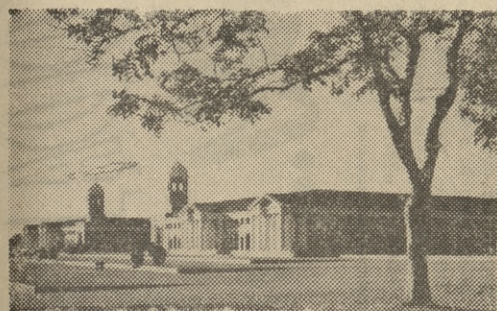
Polacy pracowali w trzech sekcjach Kongresu, wygłosili dwa referaty. W dyskusji podkreślono m. in. nasze osiągnięcia w dziedzinie użytkowania

i przerobu drewna oraz klejenia wielkowymiarowych i dowolnie krzywych elementów drewnianych, nową polską metodą „Imperkol”.

Hindusi nie mieli dla nas tajemnic, pokazywali i objaśniali wszystko co mają. Będziemy wymieniać między sobą prace badawcze, a pożądana będzie wymiana również pracowników naukowych i technicznych. Można więc mieć nadzieję, że daleki ten kraj będzie się stawał nam coraz bardziej bliski.

W przerwach prac kongresowych odbyliśmy liczne wycieczki. Jedną z najbardziej emocjonujących było niewątpliwie polowanie na tygrysa. Siedziałem wysoko wśród konarów dzungli, czekając, aż tygrys złakomi się na przynętę. Obok mnie siedział prof. Sukaczew, sympatyczny uczonec ZSRR, jedna z najpopularniejszych postaci na Kongresie. „Nigdy bym nie uwierzył — mówił z uśmiechem — że w 75 roku życia zechcę mi się łączyć po drzewach...”

Opracował:
MIECZYSLAW SKĄPSKI



Instytut Badawczy - Naukowy Leśnictwa w Dehra Dun - miejsce obrad Kongresu.

gdy podejdzie do niego krowa i zeżre mu coś ze straganu. Mówi: „Bogowie mnie nawiedzili”.

Byłem z wycieczką w pątniczej miejscowości Hardwar nad Gangesem. Szosa biegnie pod wielką, urwistą skałą. Od szosy do rzeki prowadzą kamienne schody. Na schodach siedzi Hindusi i żebrze. Jest bez nóg. Ubrudła sobie nieszczęśliwie, że jeśli obetnie sobie nogi, będzie szczęśliwy. I uciał. Obok inny fanatyk postanowił znaleźć szczęście w tym, że będzie przez całe życie trzymał rękę wzniesioną wysoko ku niebu. I trzyma cierpliwie uschnięty kikut. Czy są rzeczywiście szczęśliwi? Nie pytałem, ale wydaje mi się, że jeśli okaleczenie istotnie w czym pomaga, to chyba jedynie... w żebraniu.

Przesądom wypowiedział Nehru zdecydowaną wojnę. Jest to jednak wojna zakrojona na dziesięciolecia. Zbyt mocno wrosły fatalne przyzwyczajenia i zwyczaje. Potrzeba oświaty. Rozumie to rząd, toteż szkoła w Republice Hinduskiej jest zjawiskiem coraz częstszym.

SŁOŃ, CZYLI MECHANIZACJA

Z Delhi jadąc do Dehra Dun, celu naszej wyprawy. Ziemie, które teraz przebywamy, są dobrze zagospodarowane. Rośnie tu ryż, pszenica, trzcina cukrowa. Wszystko to sztucznie nawadniane.

nie zwiększy bezrobocie. W naukowych wydawnictwach widziałem rysunki ośmieszające traktory: przedstawiały one słonia popychającego traktor trąbą. Właśnie słonia. Te mądre zwierzęta są niezastąpionymi pomocnikami Hindusów, w gospodarce leśnej w szczególności. Słoń sam popycha trąbą okrągłaki po równi pochyłej i ładuje je na pojazd.

TROCHĘ O LESIE...

Dehra Dun leży na północy, u stóp Himalajów. W dzień i tu jest piekielnie gorąco, 30—35 st. C., ale noc są chłodne. Temperatura spada do + 5 st. C. Chętnie się chodzi w sweterze i w jesienne. Miasto liczy około 60 tys. mieszkańców, jest brudne, nędzne, chaotycznie zbudowane. Instytut Naukowy - Badawczy Leśnictwa, największy w świecie (!) leży 9 km za miastem. Zbudowali go Anglicy w trosce o własne interesy. Trzeba było przecież wiedzieć co i jak eksploatować. Teraz służy narodowi, prowadzi go wyłącznie Hindusi. Instytut jest położony na 400 ha i mieści szkołę średnią i wyższą, muzea, sale wykładowe, laboratoria mechanicznej i chemicznej technologii drewna i bogate zbiory.

Lasy indyjskie składają się wyłącznie niemal z drzew liściastych, z których najważniejszymi są teak i sal, odpowiedniki naszego dębu i buku. Z iglastych spotykałem jedynie cedr i sosnę długojędną (pinus langifolia). Bogactwo leśne jest wielkie, lecz nie należyście wykorzystane. W użytkowaniu widać dużo marnotrawstwa. Drzewa np. ścina się na wysokości metra, a nawet półtora. Ale

FILM

„Cena strachu”

Niewiele było filmów, które budziły tak sprzeczne sądy, jak francusko-włoski Cluzot, „Cena strachu”. Jedni widzą w nim przejmujące oskarżenie ustroju kapitalistycznego, inni psychologiczną analizę strachu, inni znów — film z gatunku „czarnych”, makabrę dla makabry.

Zacznijmy od rzeczy bezspornych. A więc przede wszystkim: mistrzostwo reżyserskie (prawdziwy popis umiejętności stopniowania dramatycznego napięcia), trafność montażu, doskonałe kreacje aktorskie. Te walory w dużej mierze wpłynęły na dalszy bezsporny fakt, a mianowicie na to, że z kina wychodzimy głęboko wstrząśnięci.

Wstrząśnięci — to napisane za mało. Przygnębieni. To bowiem uczucie dominuje najwyraźniej. I tutaj właśnie zaczyna się spór — spór o ideę filmu.

Ludzie, których los zagnał do Las Piedras, mają jedną szansę wyrwania się z kolonii naftowej — muszą przewieźć ładunek nitrogliceryny. Dostaną za to 2000 dolarów — bilet na wolność. Cała pierwsza część filmu poświęcona jest na to, by bez reszty przekonać widza, że innej drogi nie ma. Czterech strażników ryzykuje. Ginią wszyscy.

Co chciał powiedzieć Cluzot, kręcąc ten ponury film? Miał

on być protestem przeciwko nieludzkim warunkom w tych wszystkich Las Piedras, którymi rządzi amerykański trust? Miał przekonać widza, że życie ludzkie — nie ma tam najmniejszej wartości, a bohaterstwo — sensu? A więc namietne oskarżenie ustroju?

Nie jest to pierwszy film Cluzota. Dotychczasowa twórczość autora „Ceny strachu” wskazuje, że jego zainteresowania nie sięgały tak daleko. Cluzot znany jest we Francji jako autor filmów przede wszystkim sensacyjnych, ale filmów o dużych ambicjach artystycznych. Nie ma podstaw, by sądzić, iż „Cena strachu” — mowa o intencjach Cluzota — pochodzi z innej rodziny. Jest szczytowym osiągnięciem gatunku, który autora najbardziej interesuje. A powieść Arnauda (który nawiasem mówiąc, wózł przez pewien czas nitroglicerynę w Ameryce Środkowej) dostarczała wspaniałego wprost materiału na film w tym stylu. Film, który wciąż widza w tok akcji bez reszty — nie tylko za cenę strachu, ale nawet za cenę brutalności. Udało się to zresztą znakomicie.

Z drugiej znów strony Cluzot, pozostając wierny uczciwej zasadzie unikania uproszczeń, zasadzie realistycznej obserwacji środowiska — dał — mu się dać! — świadectwo prawdziwe. Obok prawdy artystycznej — pojawiła się prawda społeczna. I dlatego — niezależnie od intencji reżysera — film przemawia do nas głębiej niż sama sensacja. I dlatego nie bez kozery „Cena strachu” można się nie podobała wielu krytykom — zza oceanu.

Brzmi to paradoksalnie — ale takie paradoksy zdarzały się często. Zna je zwłaszcza historia literatury. Uczciwie pokazanie ludzkich spraw nie da się zamknąć w sensacji — dla sensacji.

I tak jest również z wielkim filmem francuskiego artysty, filmem, do którego nie raz będziemy wracać myślami.

JANUSZ BINIEK



W „Cenie strachu” rolę jednego z szoferów, przewożącego ładunek nitrogliceryny, odtwarza Peter van Eyck.

STARCIE

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Drgnął, od lasu za strumieniem zatrzeszczały łamane gałęzie. Jeleń nadchodził.

Chwila, i zwierzę wyłonił się z gęstwy. Stał, kręcił łbem, słuchał, patrzył. Gertek widział go już kilkakrotnie. Jak zawsze i tym razem dech mu zaparło w zachwycie. Jeleń tymczasem schodził już spokojnie nad wodę. Przednimi kopytami webrnął daleko w strumień, przeczekał jeszcze, aż mąt spłynął z prądem, wtedy schylił wysoki łeb, rosochami sięgał wody, zanurzał ich końce, pił łapczywie.

Gertek miał czas. Jeleń pije wiele i długo. Tymczasem przyglądał się swojej ofierze. Potężny, o lśniącym jakby woskiem futrze, napiętym na solidnie odżywionym jesienią tułowiu. Stał ukosem do biegu strumienia. Gertek miał go prawie na wprost. Mocne, rozrośnięte piersi podnosiły się, dygotały równym oddechem.

Przeliczył szybko rogowe odrośla. Tak, trzynastołatek. Rzadka sztuka. Zwierz w tej chwili uniósł łeb do góry. Za spokojił już pierwsze pragnienie. Gertek przytulił policzek do kolan, złożył się, słuchem stwierdził, że nie grozi mu niebezpieczeństwo.

Jeleń nagle uniósł łeb wysoko, patrzył dużymi, lśniącymi oczyma. Drgnęły pęciny

nóg. Za późno. Głuchym echem przetoczył się strzał Gertka, o bił o drzewa, zawrócił nad strumień. Kilka czap śniegowych opadło z galezi, zapisał gdzieś przestraszony kos, chybkim lotem uciekała zięba. A jeleń stał jeszcze ciałem, jak wrosły w nurt strumienia, lekko chwiały się tylko na stronach. Z rozrosłych piersi strumieniem waliła krew, barwiła wodę i spoczywający cicho na brzegu mięciutki śnieg. Gertek podniósł się, chciał zmienić nabój, lecz w tej chwili leśny olbrzym stęknął jak człowiek niezmiernie zmęczony, przegiął się w lewo, potem w prawo i w tę już stronę zwałił się całym ciężarem ciała. Chlupnęło. Bryzgi posypały się na strony, ciało zwierzęcia drgało wstrząsane przedśmiertnymi drgawkami. Łeb wyciągnął się do przodu, zbolałe oczy mieściły bezmiar bólu i żalu do świata, który każe umierać nędzną, zdradziecko zadaną, śmiercią. Jedyną śmierć godną jelenia, to plac rykowiśka.

Gertek dyszał ciężko, stał całkiem wyprostowany. Nareszcie. Dopiął swego, obszedł lisi nos Dorozę. Z nawyku raczej niż z potrzeby obejrzał się. Cisza. Wciąż trzymając fuzję w prawej dłoni siedł do rogacza. Przystanął nad nim, patrzył dumny, szczęśliwy.

Z tyłu usłyszał szelest. Obrócił się, krzyknął. Z drugiej

strony inny krzyk zabrzmiał równocześnie, razem z nim nowy strzał poniósł się echem po lesie.

— Mam cię, zbroju, nareszcie! — w głosie drgał triumf niebawmy, zwycięska nienawiść i pasja, zażarcie jakieś.

Gertek patrzył półprzymkniętym na biegnącego ku niemu Dorozę. Fuzja w ręku kłusownika zadrgała, bezwładnie wysunęła się na ziemię. Z ramienia ściekała krew, tuż obok jeleniej posoki.

— Stój, bo zastrzelę jak psa! — ten nowy okrzyk tuż, tuż znajdującego się leśniczego wrócił Gertkowi przytomność. Błyskawicznym, w lesie nabytym ruchem uskokował w bok, skreślił w lewo, wpadł w gęstwę leśniczynowych galezi, znów obrócił w prawo, pod nawisły cień jodeł, gwałtownie zrzucił z siebie gniewny odpowiedział na nowy strzał Dorozę.

Gertek był już daleko. Nie czuł biegnąc bólu ramienia, zwisającego bezwładnie, nie widział skapującej gęsto krwi. Rwał przed siebie, aby tylko jak najdalej ubiec od prześladowcy. Pomyślał, jakie to szczęście, że w czas trutliwego psa — byłoby teraz już po nim...

Gdy wreszcie przystanął, bacznie rozglądając się wokoło, odpowiedziała mu głucha cisza.

złutą dużego posłuszeństwa przy małych ambicjach i jeszcze mniej szych zdolnościach, kompromituje się zanim dotrze do rąk czytelnika. O jej losach i przydatności społecznej świadczya remanenty księgarskie. Ale dla jednych na szczęście, dla innych na nieszczęście i gwoły przekory istnieje jeszcze piarstwo, które chwytą za serce.

Kamiński należy do drugiego kręgu. Stosunek do Bema dyktowała mu wyobraźnia historyczna. Ale debiut nawet najbardziej ambitny nie był w stanie unieść wagi problemu. I tak na czoło w „Węgierskiej opowieści” wybija się z przerażającą jasnością jedna cecha genetyczna, którą nazwę — matkowaniem młodzieży. Bem — ojciec, Bem — przyjaciel młodych. Jest bliski, serdeczny, może nie bardzo towarzyski, co — w naturze, w odrocie nie myśli się o partii wista. Dobrze — a jako dowódca, rewolucjonista, a przede wszystkim jako człowiek? Nie mogę sobie wyobrazić przeżywania przezeń dni klęski. Jak są pasował wewnętrznie, jak pokonywał ludzkie słabości, od których nie był wolny ani Aleksander Wielki, ani Cezar.

Jednostronny sposób zarysowania postaci przewyższono, moim zdaniem, przy szkicowaniu sylwetki księdza Palicza. Proszę — ten człowiek żyje na własną odpowiedzialność, nie zaciągając długu w wyobraźni czytelnika. A piękny, liryczny obrazek jego śmierci jest celniejszym artystycznie fragmentem książki.

Obóz wrogi potraktował autor z wyraźną ironią. Tak zamysł w wykonaniu stworzył zbudny komentarz do charakterystyki i perypetii różnych Urbanów, Win dischgratów et consortes. A lepiej, jeśli fabuła tłumaczy się poprzez obiektywność przedstawionych zdarzeń. Sceny narad przedbitewnych, lub krótkich konsultacji w ogniu tracą bądź trafność, jak w drugim wypadku, bądź atmosferę kramarskich awantur, jak w pierwszym. Nie, stanowczo nie ten rodzaj dysputy prowadził wysoko utytułowany dowódca wojsk Franz-Joseph. Być może, że właśnie tutaj tkwią źródła pewnej naiwności „podtekstu” określonych partii powieści.

Inny problem stawia kłopotliwie dla wszelkich książek historycznych pytanie: na jakiej zasadzie i w jakim zakresie korzystał z przekazów źródłowych. Nie jestem badaczem okresu Wiosny Ludów. Zakładam a priori zgodność historycznych zdarzeń tam, gdzie o tej zgodności w beletrystyce może być mowa, z wypadkami opisanymi przez Kamińskiego. Przykłady jednak powieści historycznych dobrego stylu uczą, że jeżeli chce się pokazać kawałek odległego czasu w epickiej prozie narracyjnej, należy drogą wyboru odrzucać wie le szczegółów powabnych, czasem nawet ekscentrycznych, dla dobra całości. Zasada, że tworzyć, to znaczy wybierać, również tutaj obowiązują. Kamiński nie zawsze świadomie i precyzyjnie uwalniał się od dziejowego balastu. Dlatego np. szczegóły kostiumologiczne, rodzaje uzbrojenia, topografie i dzieje miast (o. część I powieści) podano trochę za wszelką cenę. Głęboko wierzę, że najlepsza węgierska praca naukowa za rok ubiegły, nagrodzona przez tamtejszą Akademię Nauk — Enre Kovácsa pt. „Józef Bem” stanowiłaby dużą pomoc. Cóż — ukazała się o dwa lata za późno.

Zajęłam się niedostatkami powieści — niech mi autor wybaczy to jednostronne podejście. Zalety są liczniejsze i przeważają. Jedną rzecz cenę sobie niezwykle wysoko: ciekawość, jaką wzbudził we mnie tom Kamińskiego. Ciekawość moja i ambicje pisarska. Powieść historyczna dla nie wykształconej jeszcze wyobraźni twórczej — to twardy orzech do zgrzyżenia. Kamiński z tej niełatwej próby wyszedł zwycięsko. Do literatury wchodzi bez ulgowej taryfy celnej. Ostatnie ognie spod Temeszwaru odezwały się echem, które mimo nieatrakcyjnego tytułu dotrą do uszu polskiego czytelnika. Pomysłmy, jak przez przekład na język bratniego narodu przypomnieć je przyjacielom znanym Dunaju. Gra warta świeczki.

*) I. G. Kamiński — „Węgierska opowieść”, Wyd. MON, 1954, str. 401, 3 części.

**) Bo nikt o nich nie wie, z wyjątkiem kółka przyjaciół.

BRODA i bez BRODY...

„Dowcip jest jak motyl: żyje bardzo krótko” — powiedział badając Plinius Młodszy, chociaż całkowicie pewni tego nie jesteśmy (że to on tak powiedział. Natomiast, że dowcip jest... itd. — to fakt). Zgodnie z tą tezą długo wahaliśmy się, czy z okazji jubileuszu naszego pisma dać przegląd satyrycznych utworów dziesięciolecia, czy nie. Większa część bowiem felietonów i fraszek, drukowanych kiedyś na łamach naszego pisma, przypomina dzisiaj butelkę wody sodowej z wytwórni PSS — tak bardzo zwiętrzała!

Ulegając jednak opinii osób obdarzonych poczuciem humoru oraz redaktora tego działu, postanowiliśmy mimo wszystko zorganizować mały przegląd („Film Polski” nazwałby to Festiwalem!) Satyry Głosowej. W wyborze należało oczywiście uwzględnić tzw. „szeroki wachlarz” autorów i problemów. Dlatego też obok utworów starych znajdują się również słabe, a obok fraszek, felietonów i dowcipów rysunkowych — pozycje mające w zasadzie rozśmieszyć Czytelnika.

Tadeusz H. Nowak

Fraszki (rok 1945)



rys. W. Gawęcki

Piosenka o ulicy Focha

Na ulicy Focha świecą się już pierwsze lampy gazowe.

Ja pod gazem, ty pod gazem,
Może jaśniej będzie innym razem,

Ale dzisiaj nie.

Oj, źle.

Do szabrowników

Wołam w imieniu całego narodu:
Przeście! Szkoda zachodu!

Tramwaje

W sprawie komunikacji
Nie bez racji
Przyzna mi każdy:
Zupełny rozkład jazdy.

MTP 1948



— Słyszałem, że mąż pani wystawia na Targach?

— Tak, wystawia... za bramę gości, co wchodzi na targ...

Rys. F. Śmiełowski

REPERTUAR TEATRÓW POZNAŃSKICH

(Rok 1947)



„Żołnierz królowej Madagaskaru”



„Ładna historia”



„Straszny Dwór”
Rys. Biłski



TRUMAN: — Jak mogę wam podwyższyć płacę, skoro mam tyle gęb do wyżywienia?

rys. St. Ziarnkowski
(rok 1949)

MIK

(Rok 1951)

SÓL i PIEPRZ

Zła córka jest jak abażur lampy w jednoizbowym mieszkaniu. Rzuca cień na całą rodzinę.

Pluskwa rości słuszne pretensje do uznania, że to ona założyła pierwszą na świecie Stację Przetaczania Krwi.

Uchodził za wielkiego żółtaka. Nawet, gdy umarł, mówiono o nim, że gryzie ziemię.

Przyjaciółka zwierza się przyjaciółce.

— Wiesz, poznałam na Targach bardzo miłego chłopca.

— Podobal ci się?

— Tak, szalenie przypadł mi do gustu.

Literat, lasy na wierszówkę: doctor honoraris causa.

Dyrektor kończący nagle karierę: doktor honoris causa finita.

Kapitałista: doctor honoris kabza.

Wyjątek z powieści: — Zdało się, że nie przeżyję pogrzebu Karola. Był tak mocno przybity, że nie można było oderwać go od trumny przyjaciela.

— Zaraz, zaraz, myśmy skądś przecież tutaj przyszedł...

Jerzy Ofierski



(Rok 1950)

Włodzimierz Scisłowski

ABECADŁO POZNAŃSKIE

(rok 1952)

Artos raz do roku słynie z wesołości.

„Barwa” pierze szybko — lecz dla potomności.

Cnota niekoniecznie cechą jest niewiaści.

Dziwak tylko szuka dziś brązowej pasty.

Entuzjazm sportowy ceni wiele osób.

Futro można kupić. Ale w jaki sposób?

Groch z kapustą lubi rosnąć w Kwaterniku.

Hotele są często powodem frasunku.

Indeks dla studenta to producent trwogi.

Jak dożyje — wstąpię w Okraglaka progi.

Kogut bez wigoru kury nie rozmarza.

„Lij mu” — Na zabawach krzyczą u „Drukarza”.

Łeb mieć trzeba twardy i siłę — przed kinem.

Mam wciąż premię w biurze — szef jest mym kuzynem.

Noże ze stołową często są w kolizji.

Operę chcesz widzieć? — czekaj telewizji.

Pracować nie lubią wampy i pijacy.

Rękaw jeden dłuższy — to „Wspólnota Pracy”.

Satyra ugory drwiną swoje orze...

Tramwaj? Stary problem. Nic tu nie pomoże.

Urok wiersza poznasz nie tylko po rymie.

„W-Z” chcę odpowiedzieć — i znikni mi gdzieś w dymie

Z radia podkpiwanie — temat to ograny.

Zarówki szukałeś? — czekaj na bociany.

Na sam wreszcie koniec rady się dowiedzie
Nie uczcie swych dzieci na tym alfabetcie.

Rys. BASZA (rok 1952)



NONPAREL

Z książki zażaleń

(r. 1951)

Dziś w siekanem à la Ma dame Butterfly znalazłem guzik średnicy 23 mm, o czterech dziurkach, koloru bliżej nieokreślonego, na co mam sześć świadków. Przywołałem kelnera, który na moje zapytanie, co to jest, odparł, że to jest guzik. Jeśli komisja chce daną rzecz sprawdzić, służę, gdyż guzik przyszyłem do spodni. Siekanie dobre, tylko za słone.

Ryjkio Jan

Jedzenie nawet dość dobre, ale dlaczego kelnerka ma krzywe nogi?

„Esteta”

Piszę to ja, Kaziu, bo mój starszy brat nie może, bo trzyma się za oko, bo dostał w nie kawałkiem befsztyka sąsiadki, bo befsztyk był taki spieczony, że przy krajaniu rozleciał się po sali i trafił brata w oko.

Stachurka Kazio

Zamówiłam rybę, która miała strasznie dużo ości. Kelner odpowiedział mi na to, że ryby lubią mieć ości. A ja jestem matką dzieciom i nie pozwolę na cy nieczne uwagi, gdyż nie pamiętam, żeby przed wojną było w rybach tak strasznie dużo ości.

Ifigenia Łącz-Tontopsztycka

Obsługa jest niegłęboka, bo nie chciała dzisiaj sprzedać wudki i musieliśmy robić chumora portierem.

podpisy nieczytelne

Komisja kontrolna sprawdziła niniejszą książkę i poleciła kupić jeszcze na nową.

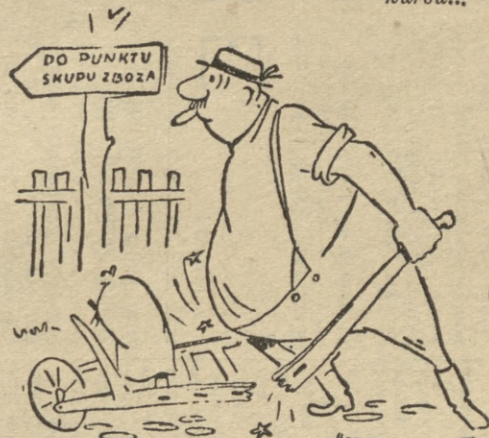
2 podpisy, data, pieczęć

JASKI PYTASZ...

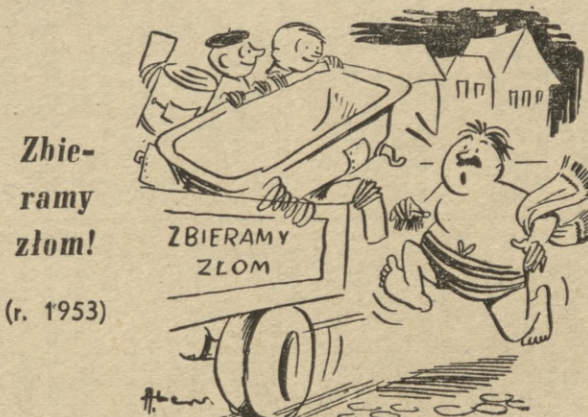
Pytasz z tajonym gorzkim gniewem i listy pocztą mi ślesz, czemu nie piszę nic do ciebie? I myśli dręczą cię zle.

Może pracuje o tej porze?
A może bawi się, cóż?
Może choruje, ach, broń Boże!
A może — nie kocha już?

Jam zdrow, a przygód też nie szukam, kochana (mimo ofert). Listu nie piszę, bo brak tutaj w Poznaniu zwykłych kopert...



PORTRET KUŁAKA



Bez podpisu

Zbieramy złom!

(r. 1953)

WITOLD DEGLER

(rok 1948—53)

POCHWAŁA

Ktoś czytał pannie swe wiersze liryczne.

Słuchala zadumana.

Gdy skończył, rzekła: „Są śliczne!”

Tak niepodobne do pana!”

SKARGA ZAWIEDZONEJ

Miłości! Ileż w tobie okrucieństwa!

Plakać mi z żalu się chce: Kochał mnie, kochał — ach, aż do szaleństwa!

Lecz po szaleństwie już nie!

EPIGON

Twórczość jego tak nabrzmiała, wpływami po brzegi, że nawet jego potomstwo to wpływy kolegi...

O PLANIE SZESZCIOLETNIM

W takich się teraz kochamy pięknych postulatów, co się spełniają po sześciu, a nie po stu latach!

— Nareszcie powstają z produkcji ubocznej te przedmioty, na które od dawna czekałam!

Na Dni Poznania

(r. 1952)

★

Bez słów

★

Z okazji Konkursu Skrzyżowanego im. H. Wieniawskiego (r. 1953)

— Popatrz, nawet autobusy pod wrażeniem konkursu...

Z akcji skupu

(r. 1953)

Fraszki Nowa sensacja

W związku z wyjazdem młodzieży na obozy i kolonie letnie.

Nową sensację na pewno zwęszyła „Wolna Europa” i w eter ją palnie: — W Polsce się ludzi do obozów zsyła I w całym kraju ucisk kolonialny. MIK

O plotkarzu

W Hucie im. Bieruta w Częstochowie rozpoczęto próby rozruchu wielkiego pieca. (z prasy)

Szepnął mi kółtun: doszły mnie słuchy, że w Częstochowie rozruchy!!! Pan się nie myli — rzekłem — mój panie!

lecz te „rozruchy” są w Planie!

JARD

Niektórym kierownikom sklepów

Nie pomogą żadne wykrety zlikwidujemy te mankamenty! J. KSIĘSKI

Rozpoczynamy produkcję uboczną (rok 1953)



Rys. H. Derwich